GONIEC TEATRALNY

PISMO ILLUSTROWANE POŚWIĘCONE TEATROWI, SZTUKOM PIĘKNYM I SPORTOWI.

WYCHODZI RAZ NA TYDZIEŃ.

Warszawa, dnia 9 (21) Czerwca 1877 r.

№ 25.



Fotodruk L. Krakowa. *Klisza Karolego i Puscha.*

Tatarkiewicz.

Od Redakcyi.

Pragnąc wprowadzić na przyszłość w *Gońcu Teatralnym* stanowcze zmiany, obecnie zawieszamy jego wydawnictwo.

Zamykając z przyszłym 26-tym numerem półroczne jego istnienie — nadmieniamy, iż Szanowni Prenumeratorowie, którzy na kwartał III i IV wcześniéj prenumeratę złożyli, odbiorą takową wkrótce po wyjściu ostatniego numeru.

TATARKIEWICZ.

Scena nasza nie jest zbyt czułą matką dla tych z artystów swoich, którzy na niéj stawiali piérwsze kroki, nie szukając gdzieindziéj powodzenia i sławy. Jednemu Żółkowskiemu udało się szczęśliwie pod tym względem... lecz Żółkowski jest zawsze i wszędzie wyjątkiem, tak jak jego olbrzymi talent. Inni pracowali tu po lat kilkadziesiąt, térając zdrowie i wiek, aby się dobić jubileuszowego wiérszyka i odejść bez szczególnych wspomnień. Scena nasza była dla nich macochą, nie matką; lubiła zato serdecznie utalentowanych przybyszów, poprzedzanych najczęściéj szumną reklamą, aby im dawać sławę i pieniądze.

Lecz stara to prawda że nikt u swoich prorokiem być nie może. Trzebaż się zgodzić z losem.

Tymczasem pewnikiem jest, że artysta, który tu karyerę rozpoczynał i tu ją kończyć pragnie, ma do zwalczenia wiele, bardzo wiele przeszkód, a największą z nich: niedowierzanie publiki. Jest to hydra stugłowa... sączące jadem łby ucinać jéj trzeba wytrwałością nielada, pracą krwawą, wiarą w siebie i w sprawiedliwość. Trzeba się także nie zrażać tém, że jaki oficyalny krytyk zaręczać będzie świętością swéj sztucznéj powagi, iż biédny bojownik sceny nie ma ani iskierki talentu i że nic z niego nie będzie. Lecz nie zważaj na to, artysto młody; nie krytyka słuchaj, lecz głosu wewnętrznego, zapału, porywów swoich... a przyjdzie chwila że pan krytyk delikatnie się wycofa, raczy ci przyznać zdolnostki, późniéj zdolności, późniéj jeszcze talent... aż wreszcie powié z powagą: „Wiécie co, moi państwo, ten młodzieniec nie zawiódł naszych nadziei.. może on być kiedyś znakomitym artystą!"

My, widzowie niepoważni, nie rozumując nad pięknem, lecz czując je, dawnośmy już byli tego zdania i jeżeli dziwimy się teraz, to tylko... krytykowi poważnemu, który kto wié czy nie tyle razy się omylił, ile krytyk napisał.

Oto maleńki obrazek karyery scenicznéj naszego Tatarkiewicza. I on „nie miał ani iskierki talentu..." ale teraz... wiécie państwo co?... nie tylko już będzie, ale nawet jest znakomitym artystą. I dobrze, żeście niegdyś nie wierzyli *poważnym sądom*, bo kto wié czy dzisiaj oklaskiwalibyście dzielnego pracownika sztuki. Talent pielęgnować potrzeba ciepłem serdeczném, jak kwiat podzwrotnikowy. Podmuch chłodu mrozi go i zabija. Do niedawnego czasu Tatarkiewicz walczył jeszcze o uznanie, wysiłkiem pracy, krwawym bólem nieodczuwanych pragnień... i wywalczył wygraną. Talent jego kroczy już drogą pewną, bez wahania się, ze swobodą. Do was teraz należy zachęcać go, uznawać jego pracę, widzieć jego zasługi, które już niezaprzeczenie posiada, a zobopólny obowiązek będzie spełniony. Krytyka *poważna* zresztą bruździć wam tu nie będzie. Powtarzać zbyt często, że białe jest czarném - to trochę niebezpieczne dla własnéj powagi.

Tatarkiewicz jest w sile młodzieńczego wieku: ma lat 34. Ileż to jeszcze przed nim pracy, a ile zwycięztw scenicznych! Wprawdzie karyery dotąd sobie nie stworzył, lecz za to wywalczył stanowisko piérwszorzędne, które mu w przyszłość weseléj poglądać pozwala. Winien to sobie samemu tylko i téj wytrwałości, która w smutnych chwilach upaść mu nie dawała. A takich chwil miał wiele — tém zaszczytniéj, że je przetrwał.

Tatarkiewicz, ukończywszy nauki szkolne w Warszawie, wstąpił do szkoły dramatycznéj. Przebywał tam krótko, bo ówczesny jéj przewodnik, dyrektor Jasiński, zawyrokował, jak widzicie arcy-trafnie, że jego uczeń traci czas niepotrzebnie, skoro nie ma ani odrobiny zdolności. Młodzieniec nie zraził się tém bynajmniéj. Udał się do Krakowa i tam, pod kierunkiem Pfeiffra, grywał drobne rolki, tęskniąc do wielkich. Dopiéro po roku powierzono mu rolę Rizzia w „Maryi Stuart"... Chwila ta była dlań stanowczą. Wystąpił i zyskał sobie poklask ogólny, który młodzieńczą duszę uniósł zapałem niezwyciężonym dla sztuki.

W r. 1861 Tatarkiewicz zachorował i powracać musiał do Warszawy, aby przez lat kilka być bezczynnym. Lekarze zawyrokowali, że dla bezpieczeństwa życia należy mu się wyrzec sceny na zawsze. Z boleścią tedy oddał się urzędowaniu... lecz nie wytrwał. Po latach cztérech (w r. 1866), gdy siły po długiéj chorobie wróciły, Tatarkiewicz, ucząc się poprzednio pod kierunkiem Trapszy, wystąpił po raz piérwszy w „Fortepianie Berty" na scenie teatru Rozmaitości i doznał przyjęcia jaknajlepszego. Wtedy to właśnie scena nasza, wiodąca ciężkie chwile osamotnienia w obec smutnych w kraju wypadków, miała jedynego tylko amanta w osobie Piaseckiego. Komorowski umarł, Świeszewski wyjechał do Krakowa, i Piasecki, sam tylko, choć licho płatny, dźwigał na swoich barkach cały ciężar ról kochanków i z szalonym wysiłkiem dorabiał się... niemocy i zapomnienia! Ta okoliczność jednakże dla Tatarkiewicza była pomyślną; widząc w nim niemałe zalety, dyrekcya teatrów przyjęła go natychmiast w poczet artystów sceny warszawskiéj, dla któréj też odtąd stale pracuje. Do dnia dzisiejszego grał on w 118 rolach, z których 39 w sztukach oryginalnych; główniejsze z tych ról są następujące: Karol Moor w *Zbójcach*, Romeo, Ruben w *Salomonie*, Zdzisław w *Mazepie*, Rozwejn w *Dalili*, Athos w *Młodości Muszkieterów*, Hipolit w *Fedrze*, Licyniusz w *Liwii Kwintylli*, Karlos w *Don Karlosie*, Didier w *Marion Délorme*, d'Aubigny w *Pannie de Belle-Isle*, Fryderyk w *Graczu*, Gustaw w *Ślubach panieńskich*, Maksymilian w *Synu Giboyera*, Milton w *Raju Miltona*, Marceli w *Safandułach*, Alfred w *Niewinnych*, Edgar w *Fałszywych poczciwcach*, Henryk w *Hrabinie Somerive*, Henryk w *Gałązce heliotropu*, Zdzisław w *Przesądach*, Żądełko w *Krytykach*, książę w *Księżnie Jerzowéj*, Leon w *Pozytywnych*, Edmund w *Dworakach niedoli*, Łubin w *Fałszywych blaskach*, Zdzisław w *Radzcach pana radzcy*, Dolski w *Wielkim człowieku do małych interesów*. Ładna to wiązka ciężkich żadań do opracowania, ładna tém bardziéj, że każda z wyliczonych ról przedstawiła dla Tatarkiewicza nowe pole do coraz nowych pomysłów w uzewnętrznianiu charakterów i typów.

Talent Tatarkiewicza posiada wszystkie zalety, które tego artystę czynią najwłaściwszym do ról piérwszych kochanków. Uczucie, łatwość dykcyi, swoboda i szlachetność ruchów, zapał niekłamany w chwilach żywszych, idą u niego w zgodzie z intuicyą artystyczną, która mu pozwala rolę każdą scharakteryzować rysami odmiennemi, owemi szczegółami formy zewnętrznéj, które wywołują prawdę i naturalność. Powierzchowne też przymioty postaci Tatarkiewicza pozwalają go witać z sympatyą, a wynagradzać za pracę coraz przeciąglejszemi oklaski.

Artysta nasz nie od razu jednak zajaśniał pełnią swojego talentu na scenie warszawskiéj. Praca tylko i wytrwałość pozwalały mu zdobywać sobie pozycyą z dniem każdym nieledwie, bo też z dniem każdym postęp jego był widoczniejszym. Obojętność, z jaką nań spoglądano w początkach, ustępowała coraz żywszemu interesowi, dzisiaj zaś wszyscy niezawodnie zgadzają się na to, że Tatarkiewicz jest już artystą piérwszorzędnym, że talent jego dojrzał i że przyszła jego karyera sceniczna przynosić mu będzie pewne już tylko zwycięztwa.

St. M. Rz.

LILJE WODNE.

Widzisz na wodzie te lilje białe?..
Ślizga się po nich fala jeziora —
A smutny księżyc, jak nocna zmora
Wypija życie z nich całe.

Zda się, że twarzą topielic bladą
Patrzą umarłe z pod wody —
Mgły, całodziennéj ślad niepogody —
Zwolna po falach się kładą.

Pewnie te lilje kiedyś na ziemi
Żyły pod słońcem wesoło,
I miały śnieżne, pogodne czoło
Zdobione gwiazdy złotemi..,

Pewnie ich smukłą kibić, wieczorny
Wietrzyk ujmował w ramiona,
Lub o poranku listki od łona
Odginał motyl niesforny.

Zapewne późniéj wietrzyk niecnota
Umknął z motylem daleko —
A rozmarzone lilje nad rzeką
Ciężka przygniotła tęsknota.

I smutne głowy chyląc nad wodę,
W jéj nurtach skryły swe lice —
Dziś biedne lilje te,—topielice
Całą straciły urodę..

Kiedy się wietrzyk zbłąka niechcący
Szukając sobie noclegu,
I ujrzy blade trupy przy brzegu
Dawnych kochanek płynące, —

Zadrży i nocą od wody brzegu
Płochliwem skrzydłem ucieka,
Od białych lilji stroni zdaleka —
W gęstwinach szuka noclegu...

Aria.

KRÓLOWA LASÓW.

Obrazek z gór.

(*Dalszy ciąg*).

Wacław.

Zaledwie dni czternaście minęło, a na leśniczówce wszyscy znali się już tak dobrze, jakby lata całe z sobą spędzili.

Nawet ojciec Ignacy ożywiał się od czasu do czasu i śmiał się razem z młodą parą i wtrącał do rozmowy, zupełnie jak stary kanarek w klatce, co to ćwierkać zaczyna wtedy, kiedy posłyszy głośniejszą rozmowę.

Z Wacława stary był zadowolony bardzo. W krótkim czasie nowo przybyły praktykant poznał się z wszystkiemi obowiązkami swéj służby, i bez znużenia wypełniał to, co do niego należało; wszystko pamiętał, o wszystkiem wiedział, a w dwóch tygodniach znał cały las tak dokładnie, jakby się w nim urodził; niemal każde legowisko zwierza miał w pamięci zanotowane.

Dzielny też był z niego myśliwy.

Tylko... jakieś tylko wszędzie znaleźć się musi,—ojciec Ignacy uważał, że Wacław zanadto przesadzał w ubóstwianiu przyrody.

— Jeśli to tak daléj będzie, to ten chłopak zwaryuje, albo zacznie wiersze pisać, mruczał stary pod wąsem. Co prawda wszystko to zarówno, ale kiedy się ludziom podoba robić różnicę między poetą a waryatem,—to,—to sprzeczać się z niemi nie myślę...

Co się zaś tyczy dwojga młodych,—nie mówili sobie nic, że się polubili, że coś ich związało ze sobą, ale każdemu z osobna serce to bardzo wyraźnie powtarzało.

Róża zaledwie powrotu Wacława doczekać się mogła codzień wieczorem, a Wacław często leśną włóczęgę przerywał, aby rychléj powrócić do dziewczyny. Poświęcenie nie lada!— ale dla niego jedyną namiętnością w życiu było błąkać się po lesie, z myśliwską piosnką na ustach, z głową pełną najrozmaitszych fantazyi. Wszystko wydawało mu się w jakiemś bajecznem świetle, zaczarowane, niezwyczajne; gdyby kiedy z zarośli wyszedł był do niego jaki duch leśny, lub gnomy, albo sylfy zastąpiły mu drogę ofiarując się pokazać mu tajne skarby swoje, nie byłby się wcale przeraził, ani zadziwił. W marzeniach tyle już razy spotykał się z niemi.

Kiedy po takich wędrówkach w lesie i w krainie fantazyi powracał do domu potrzeba było dużo czasu na sprowadzenie go w świat rzeczywisty, do którego zazwyczaj Róża była mu przewodnikiem.

Ojciec Ignacy wówczas tylko głową potrząsał i mruczał coś niezrozumiale; zapewne mówił o tém, że to wszystko „psu na budę się nie zdało, — że z takim narwanym fantastą, źle się skończyć kiedy może, jeżeli dłużéj po lasach samotny włóczyć się będzie!...“

I tak minęło znowu kilka tygodni. Stosunek młodéj pary wszedł już w drugie stadyum,—w stadyum zwierzeń miłosnych. Powiedzieli sobie, że się kochają—a ojciec na to pozwolił. Żarty i psoty między niemi nie ustały co prawda,— ale nabrały jakiegoś tkliwszego, poważniejszego charakteru. Każdego wieczora rozmawiali odtąd o swojéj miłości, swoich planach, swojem szczęściu, a stary uśmiechał się nad tem niezmordowanem omawianiem jednego zawsze przedmiotu. Oj, trzeba być młodym, bardzo młodym, aby módz tyle mówić o miłości!

Ojciec Ignacy przyrzekł wstawić się za Wacławem u samego księcia, aby mu zapewnić kiedyś następstwo po sobie w leśnictwie, a Wacław za jedyny objaw szalonéj radości ściskał tylko bezustannie i całował swoją narzeczonę.

Jakoś się dotychczas wszystko dobrze składało, tylko to rozmarzenie Wacława, te sny na jawie martwiły starego. Opowiadaniem żartobliwych dykteryjek z życia leśnego starał się ojciec Róży ośmieszyć wszystkie przewidzenia młodego marzyciela—lecz nadaremnie. Wacław nie przestawał popadać w swój „zielony humor“ jak go ojciec Ignacy nazywał i nie mógł się otrząść z swoich fantasmagoryi.

Musiano się wreszcie przyzwyczaić do tego. Najchętniéj wyszukiwał on sobie owe miejsca w lesie, które jakimś tajemniczym spokojem usposabiały do zadumy, tam godziny całe przepędzał słuchając śpiewu ptasząt pogrążony w własnych myślach. Niekiedy usypiał tak z głową pochyloną na ręku lub opartą o drzewo, a wtedy zdawało mu się, że widzi przed sobą jakiego ducha leśnego w postaci małego karzełka, dającego mu rozmaite znaki tajemnicze i wzywającego za sobą. Przebudzenie z takich snów zawsze bywało przykre, rzeczywistość ciężką i smutną.

Nieopodal od leśniczówki płynął strumyk ku małemu lecz głębokiemu jeziorku w lesie; nad strumieniem znajdowało się jedno miejsce, niby stare jakieś uroczysko —rozsochate dęby poważnie nachylały się ku sobie, słowików najwięcéj śpiewało w téj ustroni.

Tu Wacław najchętniéj swoje wieczory przepędzał.

Leśne nocturno.

Raz w przecudną noc księżycową rozmarzony więcéj niż zwykle, Wacław przechodził kładką przez strumyk cicho ku jezioru płynący. Późno już było,—czas do domu powracać, gdzie go zapewne z utęsknieniem wyczekiwano; rzucił przeto pożegnalne spojrzenie śpiącym dębom nad jeziorem i szedł daléj, ale zaledwie kilka kroków postąpił, znowu mu coś oczy pociągnęło w tamtą stronę, kazało przystanąć, spojrzeć i znowu iść daléj — i znowu stanąć. Jakaś tajemnicza siła, magicznym swoim wpływem popychała go naprzód w stronę starych dębów i cichego uroczyska. Po kilku chwilach, nie spostrzegł się nawet jak zaszedł na zwykłe miejsce swoich dumań wieczornych. Tam nieopodal od brzegu pod zielonym baldachimem dę-

bowych konarów usiadł,—strzelbę oparł o drzewo, i położywszy się na mchu wpatrzył się w szybę jeziora.

Lekki powiew wiatru przynosił mu woń jodeł i sośniny, świętojańskie robaczki migotały po krzakach. Przez gałęzie przedzierały się promienie księżyca i rozpływały po jeziorze, w którem gwiazdy lśniły odbłyskiem, jakby je niebo postrącało do wody. Tajemniczo szemrał strumień po kamieniach, w liściach dębu odezwał się czasami głos ptasząt, jakby przez sen mówiących z uroczą ciszą lasu. Drzewa niby głową kiwały ciemnemi wierzchołkami i zdawały się pozdrawiać Wacława, który im mimowoli ten ukłon oddawał.

Ciemna noc zalegała głębię lasu, zakrytą oku ludzkiemu. Ileż tam duchów musiało wyprawiać swoje harce!

Niedaleko od brzegów jeziora, zaszeleściło coś czasami w szuwarach i srebrzyste kręgi zatoczyły się po wodzie, jakby w tém miejscu która z nimf wychyliła głowę z pod fal patrząc, ażali w leśnéj samotni niema już nikogo z śmiertelnych, coby śmiał podglągnąć ich zabawy i życia.

Potem znowu cisza nastawała, nikt się nie zjawiał, a Wacławowi właśnie się to dziwnem wydawało. Przeciwnie, on tak pragnął jakiego zjawiska, żaden duch, żadna mara nie byłyby go przeraziły.

Alboż on ich od dawna w swéj wyobraźni nie widywał!..

I zdawało się, że ów nadprzyrodzony świat tajemniczy nie uważa go za swego nieprzyjaciela, ale za powiernika raczéj. Daleko z ciemnéj alei sosnowéj jakaś wyraźna postać wynurzyła się jakby z cienia i powolnemi a dużemi krokami zbliżała się ku niemu. Zdało się mu, że w téj małéj postaci poznaje niskiego karzełka, co pochylony naprzód z długiemi w dół zwieszonemi rękami kroczy nie dotykając prawie ziemi, a idąc kiwa się ciężko to na prawo, to na lewo. Ubiór ma z cetyny,—szpilki jodeł wyglądają na nim jak zielone futro, broda nakształt dwóch szyszek zwiesza się na piersi, a małe gniazdko zamiast czapki nakrywa mu głowę. Stanąwszy przed Wacławem karzełek spojrzał na niego bystro oczkami podobnemi do tarek sosnowych i dał mu znak, aby szedł za nim.

Powoli podniósł się Wacław z ziemi i już chciał podążyć za tajemniczym posłem, gdy nagle z jeziora wynurzyła się postać kobiety piękniejszéj nad wszystko, co dotąd oczy jego oglądały. Długie, jasne włosy w bujnych splotach spadały jéj na ramiona i pływały rozrzucone po fali, łabędzia szyja srebrzyła się w świetle księżyca, jak ze śniegu uformowana, ramiona wyciągała ku niemu tak kusząco, tak rozkosznie!

Wacław oczarowany przystanął i patrzał w tę mglistą postać tajemniczą, lecz karzełek obejrzawszy się rzucił mu spojrzenie tak surowe i karcące, że aż oczy spuścić musiał, a głosem — co zdawał się być burzą szalejącą pomiędzy sosnami zawołał:

— Strzelcze, królowa lasów cię oczekuje. Czy długo jeszcze będziesz się ociągał?

— Luby młodzianie, szeptała zdala rusałka ponętnym głosem syreny—pójdź do mnie! Zawiodę cię w pałac kryształowy do królowéj jeziora, do pani naszéj, najpiękniejszéj mimfy w państwie wód. Ona cię obdarzy bogactwem, władzą, nieśmiertelnością; oplecie białemi ramiony i da wszystkie zachwyty i rozkosze miłości. Luby młodzianie, pójdź!... pospiesz!... śpiesz!...

— Nie chcę twoich rozkoszy, odrzekł jéj Wacław, jestem strzelcem i kocham las zielony, a gdy mnie jego królowa wzywa, co mi z twych obiecanek?.. Do niéj ja śpieszę!

Raz jeszcze nimfa wyciągnęła ku niemu ramiona, lecz Wacław już był daleko śpiesząc za karłem — przewodnikiem. Zwolniwszy kroku wprowadził go ten wreszcie w gęstwinę i na drogę, która mu dotąd jeszcze w lesie nie była znaną.

Coraz ciemniéj i ciemniéj robiło się w lesie, coraz większa cisza zalegała w ciemności. W tém odezwał się karzeł.

— Znajdziesz dziś u naszéj królowéj wszystkie drzewa obecne, wszystkich poddanych jéj państwa. Ja—nazywam się Smolak. W dzień — my duchy drzew ukrywamy się w korze i w liściach,—ja mieszkam w sośnie, ale w nocy porzucamy nasze ukrycie, rzucamy pień nasz i w téj oto postaci śpieszymy z hołdem do lipy, naszéj królowéj.

Gadatliwy karzełek umilkł, a po chwili Wacław dojrzał cieniutkie smugi światła przeciskające się między gałęziami, co mu dało do poznania, że wkrótce już stanie u celu.

Królowa lasów.

Z bijącem sercem zbliżył się wreszcie do wejścia, które tworzyły dwie ku sobie nachylone brzozy. Przez ową naturalną bramę widać było jasno oświetloną polanę. W pośrodku wysmukłych drzew stała duża, rozsochata lipa; na każdym jéj listku świecił jak mały brylant robaczek świętojański, ogromny uroczy blask z tych drobnych światełek złożony rozlewał się dokoła.

Po jednéj stronie owéj lipy kwitły niezapominajki, po drugiéj wyrastała róża, a od stóp do samego wierzchołka wił się przytulony do pnia gęsty powój. Na mchu leżały w niedbałych pozach duchy drzew różnych, a małe zgrabniutkie sylfy pląsały w głębi, niebieskawą mgłą osłonięte. Po gałęziach rozsiadły się słowiki, a duchy leśne uważnie słuchały ich śpiewu. Na wyniesieniu stał upleciony z choiny tron, a na nim siedziała królowa lasów, dusza lipy.

Włos jéj ciemny, falisty zdobił dyadem lipowych kwiatów, — oblicze wdzięczne i przyjemne miało dziwną słodycz, jak woń owego dyademu, a w oczach zdawało się—kwitną niezabudki. Z ramion wspaniały płaszcz sutemi fałdami spływał, a płaszcz ten był misternie z samych liści lipowych złożony, tu i owdzie polna róża go zdobiła. Powój opasywał biodra—i piersi wstydliwe zasłaniał.

Oczarowany młodzian tém zjawiskiem uroczem nie śmiał kroku naprzód postąpić w ów zaczarowany świat duchów, lecz królowa skinęła łaskawie—a karzeł, który go tu przywiódł uchwycił jego rękę i przyprowadził przed tron.

— Pójdź Wacławie, pójdź mój ulubiony, mówiła doń królowa, usiądź tu przy mnie tu obok mojego starego druha Smolaka, spocznij i podziwiaj nasze zabawy.

Uczynił jak mu polecono, usiadł na stopniach tronu obok ducha sośniny i dużemi oczyma patrzał na eteryczne pląsy sylfów, słuchał cudownych dźwięków słowiczéj kapeli.

Uczuł, jak głowę jego musnął liściasty płaszcz królowéj, mimowoli oparł ją o tron z choiny, a potém zdało mu się, jakby czyjaś ręka z lekka głaskała go po twarzy, bawiła się jego gęstemi włosami na głowie... Uchwycić tę rękę, przycisnąć ją do namiętnych ust rozpalonych, zerwać się ze stopni i przyklęknąć u kolan królowéj — było dziełem jednéj chwili. Rozkoszne drżenie przeszło wszystkie jego członki, powieki przymknęły się mimowoli, upojone zmysły zasnęły na chwilę...

Kiedy się przebudził z tego stanu nie było już dworu królowéj, słowiki posnęły na gałęziach, światełka przygasły, jakiś półcień otaczał go dokoła. Zostali tylko z nią we dwoje, sam na sam. Ona patrzała mu w oczy z czarownym uśmiechem pełnym słodkich obietnic,—a oczy te, ten uśmiech ośmieliły go tak bardzo, że zarzuciwszy sobie krągłe jéj ramiona na szyję w namiętnem upojeniu objął ją całą, i do rozburzonéj piersi przycisnął. Już, już drżące usta jego—palącego szukać zaczęły pocałunku, gdy ona wyswobodziwszy się z uścisku, odsunęła go szepcząc:

— Za wcześnie mój luby, za wcześnie!...

Jednocześnie uczuł, że się słania—że mu cierń jednéj z polnych róż u łona królowéj boleśnie zadrasnął czoło, chwycił się ręką za zranione miejsce, gdy w tém... wszystko zniknęło; leżał sam na mchu pod dębem u jeziora, głowa mu zsunęła się z łokcia, a rosnący obok oset zadrasnął mu czoło.

Wstał, przetarł oczy i spojrzał dokoła zdziwiony — jednak nie obaczył nic, nikogo, wszystko było jak dawniéj.

Księżyc tylko posunął się w górę, a mgła niżéj u stóp jodeł się pokładała.

A gdzież urocza lasów królowa? Daremnie szukał

w gęstwinie drogi, którą go karzełek prowadził — nigdzie nic. Wszystko przepadło jak sen—bo też to sen był tylko.

Niezadowolony zarzucił swą strzelbę na ramiona i zabrał się ku domowi. W domu wszyscy zdawali się spać już głęboko, jednak gdy Wacław drzwi za sobą zamykał usłyszał głos Róży z okienka jéj komnatki pytający go troskliwie:

— To ty Wacławie.

— Ja.

— Bogu dzięki żeś przecie wrócił—byłam już w wielkiéj obawie o ciebie. Dobranoc Wacławie.

— Dobranoc Różo!

Dzikie sny nie pozwoliły mu odpocząć téj nocy. Nimfy, rusałki, sylfy i duchy leśne—wszystko to wirowało mu po głowie w szalonych pląsach. Rano ciężki, niewywczasowany podniósł się z posłania do codziennéj swéj pracy.

(Dok. nast.)

ROSSI.

(Dalszy ciąg).

Odtąd, zdaje się że wszystkie myśli jego w jednym już tylko wytężone kierunku,—on niemi pragnie się zemścić, pragnie wytężyć tak cały umysł, jakby myślą chciał zabić. Więc wszystko inne usuwa z siebie, nawet tę skromną, ukrytą płonkę miłości, co mu wyrosła w sercu pod spojrzeniem Ofelji, wydziera gwałtem.

Ileż ciepłéj serdecznéj krwi spływało ze słów, jakiemi żegnał kochankę:

— Idź do klasztoru!...

Zabite uczucie w walce z obowiązkiem, konającym głosem szeptało: idź, idź!...

Z wszystkich kreacyi, jakie wielki artysta przedstawił na naszéj scenie, Hamlet najdobitniéj i najbogaciéj odźwierciedlił szlachetne strony jego umysłu. Wysoka inteligencya artysty znalazła tu doskonałą formę do wcielenia się i okazania ze wszech stron.

Wierny swojemu pojęciu roli, Rossi mniéj uwagi zwraca na temperament Hamleta, nie stara się pogodzić wszystkich dziwacznych rysów téj postaci z właściwą mu naturą psychiczną. Odrzuca to, co zaciemnia charakter niepotrzebną zagadką. Królewic duński dla otoczenia swojego jest dziwakiem, ale dla widza zrozumiałym i pojętnym;—widz staje się od pierwszego wejścia na scenę powiernikiem i przyjacielem tego bladego książęcia, który ma skargę w głosie, błyskawice oburzenia w zamglonych oczach, gorzką pogardę w ustach dla nikczemności tego świata, co go otacza.

Hamlet musi uchodzić za dziwaka, chowając w piersi swéj tajemnicę okropnego bólu, który gdyby śmiał się wysłowić, musiałby przedewszystkiem całą potęgą oburzenia pierwszym wypowiedzianym wyrazem rzucić ojczymowi w twarz: „bratobójco!“ — a własnéj matce: „wszetecznico...“

Delikatność uczuć atoli powstrzymuje go od gwałtownych wybuchów, — on chce, aby zbrodnia sama się nazwała i wykryła, a wtedy co za tryumf dla niego, ale i co za rozpacz z takiego przekonania!

Jak pięknie umiał artysta uwydatnić całą tę tłumioną burzę w duszy Hamleta, kiedy u nóg Ofelji z gorączkowym niepokojem tarza się, śledząc na twarzy rodziców wrażenie przedstawianego przez wędrownych aktorów dramatu. Z jaką wściekłością wybucha po odejściu całego dworu wołając za królem:

— Zbladł!... a jest coś okropnie rozpaczliwego w téj radości, jaka się w nim wzbudza po sprawdzonym eksperymencie na sumieniu stryja i matki. Ten promień strasznéj prawdy padający mu w duszę, rozdziera ją do reszty, jak piorun.

Zaiste, — takiéj psychicznéj prawdy w grze, tyle poezyi cierpienia, oprócz Rossiego mało kto z przedstawicieli dzieł Szekspira, w owéj scenie z Ofelją rozwinąć dotąd potrafił. Widz nieznający przebiegu akcyi przeczuwać chyba musiał, że tchnieniem takich słów owiany umysł Poloniuszowéj córy, rozprządz się musi i zmartwieć.

Gdybyśmy mogli ogniwo, po ogniwie rozpatrywać w tym misternie rzeźbionym łańcuchu myśli, jakim Rossi postać Hamleta przykuł do naszych serc i pamięci, musielibyśmy rozmiary niniejszego artykułu rozszerzyć daleko poza ścieśnione ramy pisma. A wspomnienie téj wielkiéj gry ma ten dziwny, pociągający urok bezbrzeżnych głębi, w które patrzyłoby się bez końca. I nie wiedzieć czém więcéj rozkoszować umysł, czy sceną widzenia w komnacie matki, czy pełném zrozumienia i godności monologiem „być, albo nie być?“— czy cudownie satyryczna sceną z Rosenkranzem i Guildensternem, czy wreszcie całym ostatnim aktem, w którym skon Hamleta na na tronie ojca był szczytem idealnego pojęcia téj chwili.

Nie można sobie wyobrazić szlachetniéj oddanego skonania i piękniejszego wyrazu twarzy Hamleta, kiedy zeń ten umęczony duch, zbolały, skołatany rozpływa się w wieczystą ciszę, a usta szepcą ostatnim bólem zaprawione słowa nad zwłokami matki: *Addio mia... regina!*

Jakaś rzewna tęsknota, jakaś skarga na całe życie, w rodzaju tych, co nie mają już pocieszenia na téj ziemi drżała w głosie umierającego królewicza, który nawet w ostatniém tchnieniu nie mógł przez goryczą napojone usta przecisnąć pożegnania: *Addio mia—madre!*

Rossi z szczególniejszem zamiłowaniem gra Hamleta, jakby mu ta rola dziwnie do usposobienia przypadała, pożegnał w niéj warszawską publiczność, jeszcze silniéj po raz drugi i wybitniéj uwydatniając liczne piękności swojéj gry.

A może też artystę osobiste wspomnienia pociągają do Hamleta.

Grał ją raz sam pod brzemieniem cierpienia, wkrótce po stracie ukochanego syna. Kto wie, czém wielki artysta okupił wszystkie tajemnice téj zbolałéj duszy i ile własnéj krwi wlał w to poranione serce nieszczęsnego książęcia!...

(Dok. nast.)

Z teatru letniego.

Pan Michał Chodźko, reżyser komicznéj opery warszawskiéj (?), jest jednym z najnieszczęśliwszych ludzi, jacy kiedykolwiek tułali się na tym padole łez i rozpaczy!

Nieszczęście jego poczyna być zastanawiające.

Bo i patrzcież tylko! czego się dotknie, czém zajmie się przecie, wszystko idzie na marne.

Jego „Perichola“ przestała nucić pieśń swoją—„Córka Angot“ uciekła z naszej sceny — zwiądł „Kwiat herbaty“ — runął w czarne przepaście „Most westchnień“ — a obecnie „Puszka Pandory“ została zamkniętą na wieki!

Czyż to nie istne nieszczęście?

Każda z operet przezeń wystawionych w ciągu blisko trzylecia, żyła tylko jeden... dwa... cztery najwyżéj wieczory, a potém skryła się w najciemniejszy kąt biblioteki teatralnéj, przez nikogo nie żałowana!

Nietylko iż przy pożegnaniu łzy nie dano dzieciom téj zbyt wesołéj Muzy, ale darzono je gorzkim politowania uśmiechem!

Po „Pericholi“ pan Chodźko przepasał się torbą, wziął parasol, pudełko z cylindrem do ręki i daléj... do Paryża? Po co?

Po nowości.

Teatr warszawski ma tam dobre imię— nic więc dziwnego, iż ten i ów z swawolnych maestrów chciał w targi wejść z panem reżyserem.

I tym właśnie sposobem byłby może raz wreszcie zrobił pan Chodźko wybór szczęśliwy!

Niestety pan Chodźko upodobał sobie „Most westchnień“—wrócił z Paryża, złożył torbę, parasol i cylinder i po półrocznych krzykach, zapowiedziach, odkładaniach i przekładaniach, po tysiącach prób śpiewanych, deklamowanych i tańczonych... zrobił *fiasco*.

Pan Michał Chodźko reż. kom. opery warsz., jest jednym z najnieszczęśliwszych ludzi, jacy kiedykolwiek tułali się na tym padole łez i rozpaczy!

W skutek tych praktyk pana Chodźki dziwne stały się rzeczy.

Oto publiczność nasza, entuzyazmująca się kiedyś „Piękną Heleną“ przez ośmdziesiąt wieczorów, publiczność smakująca w „Życiu Paryzkiem“ i w „Sinobrodym...“ poczęła odwracać twarz swą od meilhaco-halevy'owskich scen i głuchą się stała na tony offenbachowskiéj gęśli...

Artystów wreszcie kontyngens rzecz tę uprawiających albo się uszczuplił, albo też coraz więcéj na humorze, świeżości i wdzięku tracił.

Operetka — boć przecie to nie *opera komiczna* — nie znajduje słuchaczy i aktorów, rodzi niesmak, ginie.

Zaiste pan M. C. reż. op. kom. jest jednym z najnieszczęśliwszych ludzi, jacy kiedykolwiek tułali się na tym padole łez i rozpaczy!

W tém jednak rozczulającém zresztą nieszczęściu pana Chodźki jest jedna mała rzecz, ale zawsze uwagi godna.

Oto: nieszczęścia tego sprawcą jest sam pan Michał Chodźko, sam reżyser.

Gotuje on sobie taką lichą dolę fatalnym wyborem dzieł i ich wystawą.

Świeżo „Puszką Pandory“ dał tego dowód najlepszy.

„Puszka“ ta miała w Paryżu powodzenie—to nie dość jednak, aby i u nas poklask zyskać mogła.

Tam bawiono się „olimpijskim wdziękiem“ sztuki — który u nas w obec szastania się po scenie kilku tylko i to wygłodzonych chórzystek zupełnie upada...

Tam rozkoszowano się mnóstwem koncepcików *na czasie*, jakiemi dowcipni komicy francuzcy, dla których role były tworzone, pstrzyli tekst Barriera...

Tam Judic czy Bouffar była Pandorą...

Tam gapiono się na przepych wystawy pochłaniającéj krocie franków...

Tam wreszcie tłoczono się dla posłuchania muzyki Litolffa, w czapie frygijskiéj na głowie podrygującego.... kankana!

Tam, mówiąc krótko, „Puszka“ miała oryginalny powab, zupełnie u nas zatracony.

„Puszka“ bowiem przedstawiła się na scenie teatru letniego jako rzecz cyniczna, o effektach cyrkowych, podnoszonych na „ogródkowy“ sposób.

Publiczność w kamedulskiém iście milczeniu opuszczała salę, dając tem panu Michałowi Chodźce najstraszliwsze: *memento*.

Takie to już nieszczęście pana Chodźki, iż nazajutrz cała prassa jak w jeden bęben uderzyła w jego... ekspozycyę.

Ale można było temu zapobiedz... nie wystawiając niesmacznéj operetki!

Można było... od lat kilku kassie teatralnéj znaczny przysporzyć dochód, dając rzeczy choć nieco zdrowsze, świeższe, wdzięczniejsze, choć z kroplą liryzmu lub rzetelnego humoru, jakich dziś repertuary zagraniczne mają pod dostatkiem...

Można było... do tego czasu wyrobić zastęp sił komicznych, młodych, uformować jakie takie głosy, mniéj przypominające starych grzebieni dźwięki lub też czasami zoologicznéj czysto natury tony...

Można było... dokonać wielu, wielu nie dość znów uciążliwych spraw, ale... pan Michał Chodźko jest najnie...

Dokończcie już sami czytelnicy!

Cello.

SPORT.

Wyścigi. *Wyścigi w Epsom Derby Stakes* stawka 50 sowerenów. Drugi koń wygrywa 300 sowerenów. Bieg 2,400 metrów. Zapisano 245 koni; z tych 17 biegało, a mianowicie:

Silvio og. gn. po Blair Arthol i Silverhaire, wł. Lorda Falmouth, przybył pierwszy do mety i stał się zwycięzcą *Derby stakes*.

Drugim był og, gn. Glen-Arthur wł. p. Mittchell Innes.

3. Rob-Roy og. kaszt· wł. p. Mackensie.
4. Rhidorroch og. gn. wł. p. Bewill.
5. Altyre og. kaszt. wł. p. Beddington.
6. Brown Prince og. gn. wł. Sauford.
7. Touchet og. gn. wł. Lorda Rosebery.
8. Thunderstone og. kaszt. wł. p. Alexander.
9. Grey Friar og. gn. wł. lorda Anglesey,
10. Chamant og. gn. wł. hr. de Lagrange.
11. Jagellon og. gn. wł. p. Bowes.
12. Plunger og. gn. wł. p. Baltazzi.
13. Don Carlos og. gn. wł. p. Langlands.
14. Orléans og. gn. wł. p. Gerard.
15. Tantalus og. gn. wł. p. Houldsworths.
16. Covenanter og. gn. wł. p. Bird.
17. Lady Miller kl. kaszt, wł. p. Rogers.

Czyniono zakłady w stosuku $^{3}/_{1}$ za Rob-Roy; $^{4}/_{1}$ za Chamant; $^{100}/_{15}$ za Altyrem lub Brown Prince; $^{9}/_{1}$ za Plunger; $^{12}/_{1}$ za Silvio; $^{15}/_{1}$ za Touchet; $^{40}/_{1}$ za Grey Friar; $^{50}/_{1}$ za Glen Arthur.

Nagroda wynosiła 151,250 franków. Bieg trwał minut dwie i 50 sekund.

— *Wielka nagroda Paryża* 100,000 franków. Nagroda ta w połowie przez miasto Paryż ofiarowana, w połowie zaś ze składek 5-ciu wielkich towarzystw dróg żelaznych składająca się, przeznaczoną jest dla 3 letnich klaczy lub ogierów wszystkich krajów. Stawka 1,000 franków pod przepadkiem 600 franków. Drugi koń wygrywa 10,000 franków, trzeci 5,000 franków. Ogiery niosą 55 kilogramów, klacze $53^{1}/_{2}$ kilogramów. Bieg 3,000 metrów. Zapisano 329 koni. Do wyścigu stanęły następujące konie:

Saint Christophe ogier kasztanowaty po Mortimer i Isoline własność hr. Lagrange.

Gniady ogier Jongleur po Marsie i Joliette własność księcia d'Aremberga.

Gniady ogier Stracchino po Parmezanie i Old Maid własność barona Rotszylda.

Verneuil hr. Lagrange'a.

Charivari II księcia d'Aremberga.

Dark-blue wł. p. Grabowskiego.

K. G. wł. p. C. Trotter.

Przy starcie zakłady czynione były jak następuje: 6:4 o Jongleur'a; 100:30 przeciw Verneuil'a; 8:1 przeciw Strachinno; 10:1 przeciw K. G.; 33:1 przeciw St. Christophe.

St. Christophe wyprzedziwszy o długość kilku koni Jongleur'a był pierwszym; Jongleur wyprzedził o pół konia Stracchina i był drugim; Stracchino trzecim; Verneuil o długość szyi czwartym; K. G. był piątym. Dark blue przybył siódmym, to jest ostatnim do mety.

Stosownie do telegramu otrzymanego, nagrodę *The Ascot Gold Cup* wartości 1,000 sowerenów wygrał Petrach do Lorda Dupplin należący; Skylark Lorda Falmouth przybył drugim; a Coomasie do pana Acton należący trzecim.

— W ostatnim nareszcie dniu wyścigów tegorocznych pogoda dopisała piękna; to też tysiące na polach Mokotowskich zebrało się publiczności za płatnemi i niepłatnemi biletami, aby doznać wrażeń podczas prawdziwie urozmaiconego programu, który aż z siedmiu składał się numerów.

1. Nagroda Głów. Zarządu Stad Rządowych rs. 1000 dla ogierów i klaczy nie młodszych jak lat 4, urodzonych w Rossyi. Bieg 3 wiorsty. O nagrodę tę ubiegały się cztery konie, ogier skgn. Vanadis Dobrogosta, klacz gniada Pokusa Spółki Warszawskiéj, og. gn. Pretendent ks. R. E. Sanguszki i og. gn. Ekstaz Iłowajskiego. Gonitwę prowadził Pretendent, za nim biegł Ekstaz, Vanadis, Pokusa. Za pół metą Pokusa prześcignąwszy Vanadisa i zrównawszy się z Pretendentem, wyszła na czoło i przodując dobiegła mety w minut 4 sekund 28 pozostawiając Pretendenta na 5, Ekstaza na 8 koni. Właściciel jéj wygrał rs. 980, właściciel Pretendenta rs. 270. Vanadis za trzecim narożnikiem złamał nogę przednią, a jeździec spadł z niego i potłukł się.

2. Gonitwa wierzchowa kłusem. Nagroda: puhar srebrny ofiarowany przez jednego z członków Towarzystwa wyścigów konnych. Bieg wiorst 5. Koń wpadający więcéj niż 10 razy w galop, przegrywa.

Do gonitwy téj zapisali hr. J. Berg-ogiera białego Aka-Bek, na którym sam jechał i klacz gniadą Hunterkę jeżdżoną przez p. Mazewskiego; Dobrogost ogiera gniadego Quand-même, którego wycofał i ogiera skgn. Quartier jeżdżonego przez Jędruszka. Akabek poprowadził gonitwę mając za sobą Hunterkę i Quartiera. W tym porządku obiegły szranki trzykrotnie, lecz przed trybuną Hunterka zrównała się z Aka-bekiem i pierwsza dobiegła do mety w minut 12 sekund 55, przynosząc właścicielowi cenny upominek w nagrodę. Oba te gonia w ciągu 5 wiorst nie zrobiły ani jednego skoku galopowego, gdy tymczasem Quartier pięć razy wpadał w galopa.

3. Nagroda Towarzystwa rs. 1000 dla czteroletnich i starszych ogierów czystéj krwi wszystktch krajów. Bieg $3^1/_2$ wiorsty. Zwycięzca za granicę wyprowadzonym być nie może i zaraz po odbytéj gonitwie staje się własnością składających po rs. 300. Ubiegać się o nagrodę mają prawo uczestniczący w składce. Składkę tę wniosło ośmnaście osób, a mianowicie: ks. Altenburski, ks. Oboleński, hr. T. Zamojśki, hr. J. Zamojski. hr. A. Branicki, hr. A. J. Berg, hr. M. Potocki, baron Offenberg, baron Pillar von Pilchau, baron Fraenkel, baron Zachert, L. Grabowski, Wł. Mysyrowicz, L. Kronenberg, J. G. Bloch, Krupielnikow, St. Rembieliński i Spółka Warszawska. Tak więc nagroda dla konia pierwszego wynosiła rs. 5997 kop. 50 dla drugiego rs. 247 kop. 50. O gonitwę tę ubiegały się: ogier gniady O'Harasi Jupiter Tonans p. Grabowskiego, jakoteż Owen Spółki Warszawskiej. O'Haras wybiegł naprzód, za nim Owen i Jupiter. Za pierwszym narożnikiem w drugim obiegu z przyczyny zakulenia Owen zaczął zostawać, a O'Haras dobiegł pierwszy do mety w minut 5 sekund 1 bijąc Jupitera na pół konia. Zwycięzca w skutek losowania został własnością pana Krupielnikowa, a jego poprzedni właściciel obydwie otrzymał nagrody.

4. Nagroda Towarzystwa (Beaten Handicap) rs. 150, dla wszystkich koni które w roku bieżącym biegały. Zwyćięzcy i dystansowane wyłączone Bieg 2 wiorsty. Stanęły: klacz kasztanowata Fanny J. Dobrogosta, kl. kaszt. Fozmoza ks. R. E. Sanguszki, kl. gn. Zora Sonnego, og. gn. Elikrik Iłowajskiego. Gonitwę rozpoczęła Formoza, mając za sobą Elikrika, Fanny, Zorę.— Przed pół metą Fanny zrównała się z Formozą, lecz ta ostatnia nie dała się wyprzedzić i zwycięźyła w minut 2 sekund 33 bijąc Fanny na 2, Elikrika na 3, Zorę na 5 koni. Ks. Sanguszko więc wygrał rs. 459, a Dobrogost rs. 180.

5. Nagroda Głównego Zarządu Stad Rządowych rs. 500, dla czteroletnich i starszych koni,—gonitwa z przeszkodami. Bieg wiorst 3. Panowie jadą, żokeje dopuszczeni z większą wagą.— O nagrodę tę ubiegały się: ogier kary Wermut, sztabs-rotmistrza Curikowa, og. gn. Quasimodo hr. Niroda. wałach kasztanowaty Prim ks. Obolenskiego i og. gn. Hunter J. Dobrogosta. Prim znów był pierwszy, za nim biegły Wermut, Hunter, Quasimodo. Prim brał dzielnie wszystkie przeszkody i pierwszy doszedł do mety, gdy tymczasem inne konie były zwracane i zmuszane do brania przeszód. Jednakże Prim nie wziął jednéj przeszkody, jakiéj wymagał przepis gonitwy i nagroda pierwsza odmówioną mu została. Otrzymał ją Hunter, który dobiegł do mety w minut 6 sekund 26.—Drugim był Quasimodo.

6. Nagroda ze składek dla koni nietrenowanych, gonitwa z 4-ma przeszkodami. Bieg jedno koło. Żokeje nie dopuszczeni. Proponent ks. Saxen-Altenburski. Stosownie do programu, przed rozpoczęciem czwartej gonitwy zapisali się następujący pp. kornet Wołchowski na klaczy Belżera, br. Maydel na klaczy Syrena, hr. Berg z Satyrem jeżdżonym przez barona Frederiksa, Zarząd Stada Rządowego w Janowie z Rozgromem, którego dosiadł pan St. Wotowski, szt. rot. Curikow na klaczy Granata, rotmistrz Jermolin z Kaplą jeżdżoną przez korneta Wasianowa, Radogost z ogierem Werbelem, na którym jechał p. Ptaszyński. Wyścig rozpoczęła Granata, za nią Rozgrom i inne. Prędko wszakże Rozgrom wyszedł naprzód i przodkując doszedł do mety w minut 2 sekund 27, mając za sobą Syrenę, Granatę, Satyra, Belzerę i ostatniego Werbela, Kapla zaś zrzuciwszy jeźdźca, sama przebiegła około trybuny. Ponieważ zaś Zarząd Stada Rządowego według przyjętéj zasady, honorową tylko przyjmuje nagrodę, brzęcząca więc oddaną została Maydel, jako właścicielowi Syreny.

7. Nagroda ze składek dla koni włościańskich. Składek tych zebrano rs. 70, które rozdzielono na cztery nagrody po rs. 30, 20, 12 i 8. Z jedenastu przyprowadzonych koni przez włościan z okolic Warszawy zwycięzcami były rumaki obywateli czerniakowskich. Pierwszą nagrodę wziął Franciszek Mularczyk, drugą Marcin Sankowski, trzecią Franciszek Kałdunek, czwartą tegoż samego imienia i nazwiska włościanin

— Letni sezon wyścigów na kłusa rozpoczął się bardzo świetnie, wyścigami w Kozłowie, gdzie znany ogier pana S. D. Korobina Beduin Mołodoj, najszybszy dotychczas kłusak w Rossyi przewyższył samego siebie: przebiegł bowiem przestrzeń 4-ch wiorstową w ciągu minut 6 i 56 sekund. Współzawodnik Beduina, Krolik (ten sam który w tym roku wygrał cesarską nagrodę), przebiegł bardzo szybko tęż samą przestrzeń, bo w minut 7 i 3 sekundy.

Dotąd najszybszym koniem w letnich wyścigach w biegu 4-o wiorstowym był Udałoj (p. A. K. Miaśnikowa, który przestrzeń tę w roku 1871 przebył w minut 6 i 57 sekund; następnie idzie szybkość minut 7 i 7 sekund którą odznaczył się w Tule w roku 1874 Groźny (księcia D. D. Oboleńskiego, obecnie do p. D. A. Jankowa należący). Tęż samą przestrzeń i w takimże samym czasie, przebył w roku 1876 w Petersburgu w zimie Beduin Mołodoj zdobywając nagrodę Następcy Tronu: szybkość Beduina w porze zimowéj jest największą jaką dotąd osiągnąć było można.

Ostatni wyścig wiosenny w Kozłowie dowiódł, że Beduin Mołodoj przeszedł w szybkości wszystkie kłusaki tak samo w wyścigach letnich jak i w zimowych; tym więc sposobem jest on bez zaprzeczenia najszybszym kłusakiem w Rossyi.

Aczkolwiek szybkość tego konia minut 6 i 56 sekund w 4 wiorstach, jest niezwyczajną; nie trzeba jéj wszelako uważać za najszybszą u Beduina, a to ze względu na niesprzyjające okoliczności wyścigowe.

Mianowicie: że Beduin mołodoj, biegał zaprzężony do linijki po prowincyonalnym torze bardzo ciężkim (wiedzieć bowiem trzeba, że tor w Kozłowie jest bardzo piaszczysty, a w dniu wyścigów była spiekota, piasek więc wydobyty na wierzch utrudniał wyścig) a pomimo to przebył przestrzeń 4-ch wiorstową z nadzwyczajną lekkością, bez utrudzenia żadnego, zachwycając widzów równością w kłusie, albowiem podczas wyścigu ani razu nie zarwał galopem. Spodziewać się więc należy, że przy bardziéj sprzyjających okolicznościach, to jest w wyścigu po torze owalnym, twardym (szossowym) i w amerykance, Beduin mołodoj większąby jeszcze szybkość okazał.

Pomiędzy końmi biegającemi w Kozłowie zasługuje na uwagę 4-o letnia klacz Miła (p. A. W. Życharewa) która odpowiednio do wieku swego, odznaczyła się nadzwyczajną szybkością na prowincyonalnym hippodromie.

Sądząc z massy naprowadzonych na letnie wyścigi w Moskwie koni, oraz widząc codzienne próby szybkości takowych, wnieść należy iż wyścigi tegoroczne w Moskwie bardzo swietne będą.

Pomiędzy końmi będącemi własnością moskiewskich amatorów, okazują wielką szybkość w kłusie czterolatki p.p. Gołowina, Teglera, Dazziaro i innych; z pięciolatek zaś odznacza się Połoter p. Wołkowa, Letun pana Dazziaro, Atamanka p. Ochotnikowa i inne.

Z prowincyi hr. J. J. Woroncow-Daszkow sprowadził swe konie (pomiędzy któremi odznacza się 5-cio letnia klacz Tucza, oraz p. Gołownin nabywca stada od p. S. S. de Bowe, p. Gołownin posiada 4-o letnie kłusaki ze stada Kożyna, które z odznaczeniem biegały w tym roku na torze Morszańskim. Z innych koni do Moskwy przybyły należące do ks. Wiaziemskiego p. Sołowcowa i t. p.

J. N.

198



Punsch, ogier z gatunku ponejów szkockich, urodzony w Krasném z klaczy Bell po ogierze Bullock; tak klacz jak i ogier pochodzą z rassy Szkockiéj.—Punsch jest własnością hr. Ludwika Krasińskiego.

Redaktor i Wydawca **Józef Naimski**. — Дозволено Цензурою, Варшава 9 Іюня 1877 г. — Druk **J. Ungra**, Warszawa, Nowolipki 2406 (3).

Redakcya i główna ekspedycya w Warszawie w kantorze drukarni J. Ungra, Nowolipki Nr. 3.